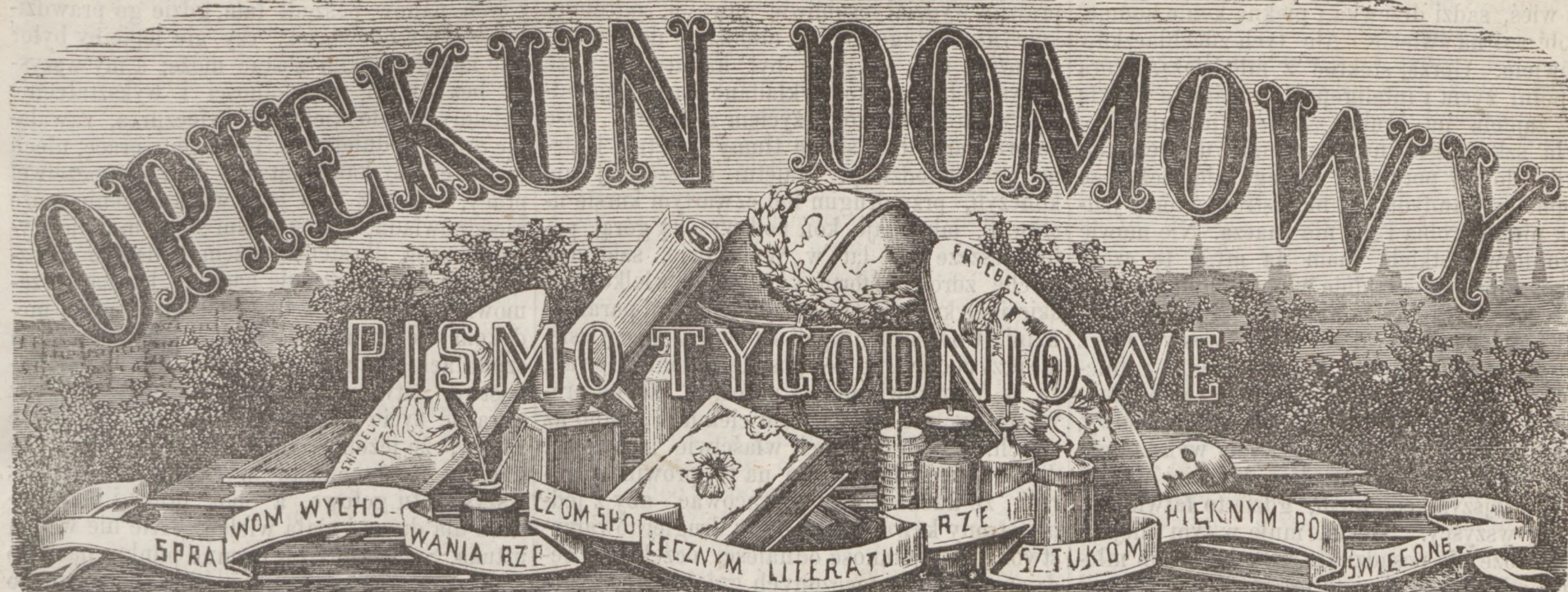
Nr. 7. Warszawa dnia 6 (18) Lutego 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY

łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Król.st.	
rocznie	rs. 3 k. 60	rocznie . . .	rs. 5
półrocznie . .	„ 1 „ 80	półrocznie . .	„ 2 k. 50
kwartalnie . .	„ 90	w Austryi roczn.	9 guld.
miesięcznie .	„ 30	w Prusach	„ 5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Sroda.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy-Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 10.

NIERÓWNY PODZIAŁ.

Przed r. 1870 wiele mówiono o tym we Francyi, że Paryż pochłonął prowincyją, że nią rządzi, słowem że ona cała dla niego. Czy lekkomyślni francuzi rzeczywiście wytworzyli taki nierówny podział, dokładnie wiedzieć nie możem. To pewna, że u nas w ostatnich szczególnej czasach, kwestyja stosunku miasta do wsi na podobną zupełnie weszła drogę*). Przeglądając spisy ludności ostatniego lat dziesiątka, widzimy z jaką nadmierną szybkością wzrosła ludność Warszawy. O prowincyi tego powiedzieć niepodobna. Cóż się więc stało? Masa osób wyprowadziła się do miasta. Czy w tym jest co złego? Bynajmniej, jeżeli tylko to przeprowadzenie w racyjonalnych było zrobione warunkach. Przeglądając historyją europejskich społeczeństw, każdy zauważy, iż miasta wzrastają ciągle, że w krajach, które stoją na czele cywilizacyi, powiększają się miasta ze szkodą wsi. Wiemy i o tym, że ideałem społeczeństwa pod względem ekonomicznym, byłaby ta chwila, kiedyby nie było ani miast, ani wsi, ale kiedyby te odrębne żywioły zlały się w jeden, tworząc w ten sposób wymarzone jakieś niebieskie państwo, do którego wszyscy wzdychamy. Ideał jakiś dobrze zawsze mieć przed sobą, ale poto tylko, aby się zbliżać ku niemu;—zrealizowany ustępuje miejsca więcej podniosłemu, i tak dalej i dalej!... Ale chwila obecna, trudne *dziś*, okoliczności miejsca i czasu, powinny wpływać na wytworzenie się pewnych stałych przekonań w kwestyjach, które nas wszystkich obchodzą. Czy nasze dzisiejsze społeczeństwo, dążące do podniesienia miasta, postępuje racyjonalnie? czy dźwigamy miasta przez to, że sprowadza się do nich, kto potrzebny i niepotrzebny? Czy cywilizacyja zyskuje na tym, jeżeli jaki zbankrutowany obywatel, lub niedouczony literat zawita do większego masta? Myślę, że nie, a nawet działanie jest wprost odwrotne. Powiedzieliśmy już wyżej, że wzrost miasta, jest wzrostem ogólnego dobrobytu i cywilizacyi danego społeczeństwa. U nas odróżnić trzeba tych, którzy w mieście są *potrzebni, obojętni i niepotrzebni*. Ostatni są ci, którzy nic nie mając i nic nie produkując, stają się ciężarem miasta, w murach którego przebywają. O dwu pierwszych kategoryjach chcę tu mówić. Potrzebnemi, nazwę tych wszystkich, którzy w jakibądź sposób pracują produkcyjnie, wypełniają w swym zakresie co do nich należy. Więc wszelaki rzemieślnik ciężko pracujący, więc urzędnik, doktór, profesor, literat, bankier; więc setki innych zajęć, które całość ogólnego życia składają. Ludzie ci, *będąc na swoim miejscu*, ogólnej nie psują harmonii, więcej powiem, stoją na czele, przodują reszcie młodszej od nich braci i zapatrzeni na obce wzory, czerpiąc resztę z własnego uznania, stwarzają nam postęp, pchają na nowe drogi, podnoszą nas pod każdym względem. Przed temi, czołem. Ale pytam się was, którzy to zechcecie przeczytać, czy mało jest ludzi zawalających próżno ulice, próżnujących od rana do nocy i wymyślających w dodatku na zacofanie i ciemnotę prowincyi?... Co to są za ludzie? Czy to złota młodzież? jak ich niesłusznie nazwano. Synowie najczęściej zamożnych rodziców, bez edukacyi, pobyt swój w Warszawie znaczą czytaniem jednego francuskiego dziennika i rzadką bytnością w teatrze na nowej sztuce. Sąto ludzie zupełnie nic nie robiący i dla ogólnego ruchu umysłowego i przemysłowego naszego miasta, najzupełniej *obojętni*. Przechodząc ulicą, osobliwie w lecie, spotykasz często te wyblädłe twarze na cienkich nogach, potrzące gdzieś bezmyślnie w przestrzeń, niewiedzące gdzie się obrócić. Sąto nieszczęśliwe ofiary próżniactwa i dostatku. W lecie cały dzień w Saskim ogrodzie, zimą w cukierni, parę godzin nad jedną gazetą, wyglądają jak zbawienia objadu, aby potym znów rozpocząć słodkie *farniente*. Gdyby takiemu panu przyszła kiedy ochota wziąć się do czegoś, odsunięteby go wszędzie, boć przecież nic nie umie. Niechże przynajmniej majątek przyda się na

*) Pod wyrazem miasto rozumiemy tu tylko Warszawę, inne zamało są znaczne, aby wpływ w tym kierunku wywrzeć mogły.

ŚLADY ŻYCIA.

VII.

Tyle życia, ile... w czynie.

W ostatnim czasie sprawa naszej młodzieży handlowej obudziła dosyć żywe zajęcie. Wistocie bo też oddawna już na to zasługiwała. Wszędzie dziś tak wiele mówimy o potrzebie reformy naszego sponiewieranego handlu, tak *inaczej* poczynamy spoglądać na zawód i stanowisko *kupca;* czyżbyśmyż więc niemogli zrozumieć, że tak pożądana a zapewniająca nam olbrzymie korzyści społeczne reforma jak i doniosłość kupieckiego zawodu, warunkuje się przedewszystkim moralną wartością samego *materyjału* na kupca, że sprowadzenie naszych stosunków wymiany na nowe i racyjonalne tory, podniesienie przeto jednego z najżywotniejszych źródeł zbiorowego bogactwa, zależy przedewszystkim od podniesienia moralnego i materyjalnego stanu maszej młodzieży handlowej? Z drugiej zaś strony, zgodzić się potrzeba i na to, że wobec apatyi w tym względzie znacznej większości samych pp. pryncypałów — kupców, młodzież tej kategoryi na własne jedynie siły nateraz liczyć może, że drogą jedynie skoalizowanej samopomocy, jakkolwiek zwolna, może jednak byt swój dzisiejszy oprzeć na trwałych i pomyślniejszych podstawach. Tą też widocznie myślą kierowało się i warszawskie stowarzyszenie subjektów handlowych, przystępując do odbywających się obecnie narad nad projektem zreformowania pierwotnej swojej ustawy. Właściwie biorąc, stowarzyszonym idzie o rozszerzenie zakresu swych działań, o postawienie instytucyi na tym stopniu organizacyi wewnętrznej, jaka zapewnić jej może szerszy rozwój, rozleglejsze wpływy i pełniejsze życie. Przedewszystkim zaś projektowane zmiany mają na celu postawienie towarzystwa w możności utrzymania lokalu, w którymby, oprócz czytelni i odpowiedniego miejsca na odczyty, mogły być nadto urządzane rozmaite towarzyskie zabawy. Że podobna dążność stowarzyszonych, zasługuje na uznanie i wszechstronne poparcie, niepotrzebujemy dodawać. Jeżeli tak młodzi zrozumieć tego nie chcą czy nie umieją dzisiejsi przewodnicy handlowej młodzi, jeżeli obskurantyzm zasłania im oczy na obowiązującą ich tu czynną i bezpośrednią pomoc, to doprawdy należałoby już nareszcie aby przynajmniej młodzież tej kategoryi chrześcijańska zrozumiała swój interes własny,by jednocząc rozstrzelone dziś swe moralne i materyjalne zasoby, pojęła całą doniosłość takiej mianowicie solidarności; by tym sposobem pożyteczna ta instytucyja wzmacniając się na siłach stracia zarazem dziwny i do dzisiejszych pojęć nieprzystający bynajmniej separacyjnie-wyznaniowy charakter.

* * *

Są u nas instytucyje ogólniejszego znaczenia i celu, instytucyje ściśle związane z najdroższemi interesami ogółu, o których jednakże ogół ten wie mniej może nierównie, aniżeli

coś, niech taki młodzieniec chociaż wyjedzie na wieś, sadzi drzewka i piękne konie hoduje, zrobi coś na świecie. Ale tych zdechlaczków niewiela. Gorzej stokroć z młodzieżą, która w pełni życia i inteligencyi gnuśnieje prawie bez zajęcia na bruku. A jest jej niemało. Była szkoła główna, następnie uniwersytet, wydał do tej pory całe szeregi młodzieży, ze stopniami kandydatów, magistrów, którzy jednak nic nie robią i nic nie znaczą. Nie mówię tego do wszystkich, mam na myśli tę część tylko, która się znajduje w położeniu, o jakim mówię. Wydaje się to napozór bardzo dziwne, gdy jednak przyjrzym się bliżej kwestyi, rzecz jest jasna jak słońce. W kraju bieda, rolnictwo, przeważna, jedyna prawie gałąź produkcyi—w kolebce, o przemyśle i handlu ani mowy, więc i o danie zatrudnienia wyżej wykształconym bardzo trudno. Według ludzkiej natury za łatwiejszym ciągniem, gdzie to łatwiejsze, wiemy wszyscy. Niechże mnie w tym miejscu broń Boże nie posądzi kto, że odmawiam młodzież od uczenia się, od pracy umysłowej, od kształcenia się jednym słowem — uchowaj Boże!

Chcę tylko zwrócić uwagę młodzieży na praktyczniejszą stronę życia, które przez to okropnie u nas kuleje.

— Wie pan, — mówił do mnie niedawno starej daty obywatel, — niedługo będziemy mieli samych doktorów i to nietylko medycyny, ale i prawa, i filozofii, i Bóg wie nie czego.

— No, — mówię, — to dobrze, idziemy naprzód.

— Djabła, mój panie, mam ich dwu, prawnik i matematyk, oba doktorzy czy jak tam, pokończyli, siedzą w Warszawie, pieniądze wydają, a u mnie na wsi bieda aż strach, pomocy nie mam żadnej, gospodarstwo w ruinie, przecież każdy wiek ma swe prawa, i jam stary, ciężko pracować już nie mogę. Cóż, kiedy oba powiadają, że bez Warszawy i Saskiego ogrodu żyć niemożna.

Niestety tak jest. Wieluż to zamożnych synów obywatelskich kończyło i kończy prawny wydział? wieluż to z tych panów po skończeniu uniwersytetu, aplikuje całemi latami w Warszawie, to znaczy bąki zbija? Gdybyto jeszcze obznajmienie się z obowiązującym u nas prawem i wielu ciekawemi rzeczami, było celem takiego uczęszczania do uniwersytetu? najczęściej idzie tu o *decorum*, oto żeby coś przed ojcem i znajomemi powiedzieć; w gruncie rzeczy nie robi się nic. U nas w Warszawie, prawny wydział osobliwie dawniej, ogromny kontyngens tego rodzaju młodzieży dostarczał. Wydział ten, czy że był najłatwiejszy ze wszystkich, czy że wykładano na nim przedmioty bardzo blisko z życiem związane, dość że przygarniał do siebie tłumy majętnej i niemajętnej młodzieży. Majętni najczęściej nie kończyli, przy drugim lub czwartym kursie ustawali, jak ustaje koń pod wysoką górą; pobyli jeszcze parę lat w Warszawie, szarpnęli trochę zdrowia i fortuny i pojechali wielkomiejskie idee krzewić pomiędzy ciemnemi parafijanami. Ubożsi dochrapali się końca, męczyli się, ale przy podawaniu się o posadę, zakonkludowali, że w Warszawie muszą pozostać, że na prowincyi żyć nie można, tam ciemno i nudno aż strach. O tych ostatnich właściwie mi chodzi. Jakto, więc dlatego, że na tej prowincyi gorzej, że trzeba gorzej popracować, aby z jednej strony kawałek chleba, z drugiej towarzystwo i przyjemność odnaleść, oczekiwać będziemy wszyscy pieczonych gołąbków? Wygodniejsze to, niewątpliwie. Ale ci panowie uczyli się od młodości, że nie żyją dla siebie, że znowu do takiego bezwzględnego szczęścia niestworzeni, że na świecie oświecić młodszych i rękę im podać i to także zasługa. Słyszeli o tym wszystkim, a mało który zrobił, co do niego należało. Narzekania było i jest bez liku, że bieda aż piszczy, a połowa winy w nas samych. Wolimy wytarty tużurek i dziurawe buty, wolimy lichy objad i liche śniadanie, byle w Warszawie, powtarza niejeden. Bardzo to dobrze, jeżeli mówiący to ma na myśli tysiączne sposoby kształcenia się, jakie wielkie miasto przedstawia. Ale to są wyjątki. Większość chodzi po ulicy, ogrodach, miejscach publicznych i najpyszniej w świecie zabija czas, myśląc że coś robi. Nie może być inaczej, gdy do jednego dzbanka tyle głów. To co mówiłem o prawnikach, stosuje się do wszystkich gałęzi umiejętności. Przepełnienie czuje się na każdym kroku. Do Warszawy! do Warszawy! krzyczą wszyscy, a w tej Warszawie bieda czasem okropna. Ludzi całkowicie, pół i ćwierć wykształconych kopami znajdziesz. Każdy wiek, każdy stan, każde kółko towarzyskie naliczy ich dosyć. W każdym towarzystwie spotykasz doktorów, kandydatów, magistrów. Wszyscy oni przeżuwają wiedzę, nie dając nic tym, którzy tego bardzo potrzebują. W mieście naszym teoryi dużo, a cała niwa produkcyi krajowej odłogiem leży. Gdyby każdy z tych panów poszedł tam, gdzie go prawdziwy wzywa obowiązek, czy nie lepiejby było? Nie każdy wielkim zostać może; a my wszyscy bez uwagi na zdolności i wykształcenie pchamy się do wielkiego świecznika, zawalając drogę godniejszym. Podzielmy pracę, niech magister czy kandydat nie leni się poczciwej pracy, chociaż ona jego wykształceniu może nieodpowiadać. Gromadzim się w mieście, żyjem ze sobą, dla siebie piszem, a daleko mieszkająca brać nierozumie naszego języka. Przemówmy przecież do niej inaczej. Panom medykom ciężko na wsi, łatwiej spacerować po szpitalach, niż ratować w chorobie nędzę i ubóstwo; łatwiej pisać lekarskie artykuły, niż narażać życie i zdrowie. Aż nadto dobrze wiemy, że jeżeli gromadzim się w mieście, to dlatego, że to miasto wygodniejsze dla nas; wszystko tu gotowe, a obok pracy i przyjemność dla duszy i ciała wielka. Ale nie w tym sztuka. Spojrzyjmy i w ciemne punkta naszego społeczeństwa, zajrzyjmy na dno społeczne, co tam ciemnoty i nędzy. Poznajmy trochę prowincyją bo połowa z nas bardzo mało, albo nic o niej nie wie. Wieluż to z naszej młodzieży jest synami wiejskich obywateli, wychowywali się na wsi. Z ręką na sercu niech powie który z tych panów, czy zna świat, w którym się długi czas obracał, żebym nie wyrzekł wszystkiego, czy niejeden z nas nie przyczynił się jeszcze do utrzymania zła i ciemnoty między bracią pod tylu względami niższą od nas. Garniemy się bezmiłosierdzia do urzędów, bankierskich kantorów; i t. p. robimy wszystko, aby tylko w mieście pozostać, aby nie porzucić ulubionej Warszawy. Wszystko to pięknie, tylko że nie o nas samych tu chodzi. Jak my, tak reszta—jak reszta tak my pojedyńczo składamy się na całość; aby więc całość była dobra, jednostka złą być nie może. Ciężko to, prawda, ciężko tak podzielić, aby jednym łatwiejszy, drugim trudniejszy zawód przypadł w podziale. Ciężko delikatnym i rozpróżnowanym trochę paniczom, imać się pługa, rano wstawać, deszczu i wiatru skosztować a uznoić się, gdy słonko dopiecze. Ale z pracy chleb a im bardziej i sumienniej porobisz w roli, tym owoc pewniejszy, a jak to daleko, abyśmy natym polu choć w części rozumniejszych od nas doścignęli!.. Nie wołam ja tych, którzy siedzą w mieście nie czując w sobie zdolności do działania na prowincyi, a spodziewa-

---

o wewnętrznych sprawach np. Kochinchiny. Do takich to instytucyj, osłonionych dziwną mgłą tajemniczości, należy nasza giełda warszawska, albo raczej stojący na jej czele nasz „komitet giełdowy“. Co do tego mianowicie ostatniego, to wiemy, że od roku już blisko został uorganizowanym, że istnieje i... i prawie nic więcej. No... i niemoże zresztą być inaczej. Wszakże komitet ów nie poczuwa się widocznie do obowiązku zdawania publicznej sprawy z przebiegu swych, najbezpośredniej ogół nasz interesujących, czynności. Ileż bo to np. uczyniono komitetowi zapytań, co do owej od tak dawna pożądanej *giełdy produktów?* Każde niemal pismo zwracało się po objaśnienie, co z instytucyją tą się dzieje? a jednak... dotychczas, zamiast odpowiedzi, komitet, w palącej tej z wielu względów kwestyi, daje nam stereotypowe milczenie. Lecz... bądźmy dobrej myśli... W dniu 24 b. m., ma się odbyć *drugie* ogólne posiedzenie zgromadzenia giełdowego, na którym komitet ma zdawać szczegółową sprawę z rozporządzeń swych, uczynionych na korzyść przemysłu i handlu. Miejmy więc nadzieję, że i o giełdzie produktów posłyszymy coś przecie. Tymczasem zaś, nie możemy przemilczeć o odbytym już posiedzeniu ogólnym *pierwszym*. A doprawdy ciekawe to było posiedzenie. Na całą reprezentacyją naszego przemysłowo-handlowego świata, (sośród którego liczba samych kupców gildyjnych wynosi przeszło 2,000 osób) raczyło przybyć na zebranie aż 146 członków zgromadzenia. I czyż może ktokolwiek posądzać nasz świat finansowo-handlowy o indyferentyzm na polu naszej działalności społecznej! Wracając jednak do samego zebrania, winniśmy zaznaczyć, że rezultatem tegoż był wybór starszego meklera i oznaczenie opłaty za prawo uczęszczania na giełdę, tudzież kary za nieprzybywanie na zebrania ogólne. Oby tylko kara ta mogła okazać się choć cokolwiek skuteczną!

* * *

Redakcyja Niwy w N. 51 swego pisma ogłosiła nowy kunkurs na napisanie dzieła z dziejów naszej cywilizacyi. Wiadomo czytelnikom, że konkurs poprzedni nie przyszedł do skutku zapewne z powodu trudności w zebraniu materyjału, który jest zbyt rozproszony. Obecnie, nie spodziewając się już, żeby jeszcze jedno ogłoszenie i przedłużenie terminu wpłynęło na urzeczywistnienie podanego projektu, Redakcyja Niwy zmieniła temat. Tytuł jego brzmi: „*Zmiana pojęć i ustroju społeczeństwa polskiego z XVIII wieku*“. Redakcyja zwraca przytym uwagę na dwa zasadnicze szczegóły. Pierwszy dotyczy wpływu pojęć zagranicznych na społeczeństwo nasze pod względem nauki, sztuki i literatury pięknej,—drugi dotyczy praktycznego zrealizowania postawionych ideałów w postaci towarzystw wszelkiego rodzaju, projektów reformy i samych reform.

Autor rozprawy uznanej za najlepszą otrzyma od Redakcyi Niwy rubli srebrem *sto dwadzieścia* i pozostaje wyłącznym właścicielem swego dzieła. Gdyby chciał je sprzedać, pierwszeństwo w nabyciu służy Redakcyi a gdyby w rok po przyjęciu rozprawy nie wydrukował jej, taż staje się własnością Niwy bez żadnego oddzielnego wynagrodzenia. Termin ostateczny do nadsyłania prac konkursowych naznacza się na dzień *1 kwietnia 1875 roku*. Każda rozprawa winna być opatrzona dewizą, wypisaną również na zapieczętowanej kopercie, w której znajdować się ma imię, nazwisko i miejsce zamieszkania autora. Tylko koperta autora rozprawy premijowanej otworzona będzie; inne pozostaną nietknięte.

Nie wątpimy, że temat ten tak ważny i przedstawiający tyle stron nowych do odkrycia, nie ulegnie losowi poprzedniego konkursu i wzbudzi zainteresowanie się, które zamienione w sumienne studyja, może się przyczynić do rozjaśnienia najbardziej wpływowych chwil naszego życia umysłowego i społecznego.

* * *

ją się na stanowisku już zajętym przynieść pożytek dla społeczeństwa;—ale chodzi mi o tych, co z braku zastanowienia, przez lekkomyślność, albo fałszywy wstyd boją się wyjrzeć dalej, niż przechadzki miejskie sięgają. Niech obejrzą się po biednej prowincyi, niech tylko zobaczą jak majętni z braku wykształcenia i znajomości przedmiotu wylatują ze swych majątków w ciągu lat paru, niech zauważą, iż wykształconych rządców, administratorów, ekonomów niemamy wcale. Jednym z najważniejszych tu zajęć praktycznych jest bezwątpienia rolnictwo. Kraj rolniczy, całym jego bogactwem ziemia, kto tę ziemię uprawia? W żadnej może gałęzi produkcyi niema tyle nieznajomości przedmiotu co w rolnictwie. Powie niejeden, iż ryzykować się trudno, że rządca chociaż i wykształcony na równi z prostym włódarzem jest traktowany. To prawda, ale ci sami panowie przyznają mi, że tylko z powodu braku znajomości przedmiotu i nieuczciwości tych rządców, takie o nich panuje przekonanie. Postarajmy się je odmienić.... Uderzmy instytutu w Nowej-Aleksandryi, do szkoły żabikowskiej, gdzie chcecie, ale pracujmy więcej na tej niwie, gdyż neapolitańskie sumy puszczamy rok rocznie z wiatrem. Czyż to nie wszystko jedno byłoby młodemu chłopcu po skończeniu gimnazyjum, miasto pchania się na wydział prawny a następnie do urzędu, iść do szkoły agronomicznej i zostać porządnym gospodarzem? Przyjrzyjmy się innym zajęciom: dwu albo trzech do każdego;—wieś zapomniana zupełnie;—pacierz za panią matką idzie jak szedł oddawna. Nie możem się bowiem przekonać, że rolnictwo taka dobra nauka, jak prawo, lub medycyna. Nieobeznanym wydaje się, że dość jest rano wstawać, głośno krzyczeć i chodzić w długich butach, ażuż gospodarz doskonały. Nieobeznani biorą przykłady z młodych praktykantów najczęściej ograniczonych i bogatych, którzy poto są na praktyce, aby jeździć konno, bywać u sąsiadów i tańcować po chłopskich weselach. To zabawka. Ale nie wszyscy chcą się bawić. Dla kogo gospodarstwo rolne ma być chlebem, musi go się uczyć, tak jak uczy się gramatyki lub dodawania. Przy wzięciu tej drogi, wykwalifikowany agronom, gdy obok zdolności okaże prawdziwe wykształcenie i dobre chęci, znajdzie miejsce zawsze i wszędzie. Nie mówię już o nic niemających; ale synowie obywatelscy, za któremi czekają fortuny, poco siedzą w mieście i nabierają poloru!? Wielka szkoda drogiego czasu. Rzadko który z tych panów wyniósł prawdziwą korzyść z uniwersytetu, dlaczego było męczyć siebie i drugich i niewziąć się do właściwego zajęcia? Nasza narodowa choroba, iż wszyscy chcemy być jenerałami, przebija tu najwidoczniej. Gdzie bieda, tam powinniśmy przedewszystkim postarać się o jej usunięcie. A jak ją usunąć? pismem dużo się zrobi, ale czynem więcej. Czemu niemcy stoją tak wysoko pod względem dobrobytu materyjalnego? bo każdy z nich idzie ku swemu celowi, nie leniąc się żadnej roboty. U nas inaczej. Rolnictwo w upadku, najpierwsza gałąź produkcyi, wydobycie surowego materyjału z ziemi na łasce nieznających się zupełnie na tym. Minął czas kiedy na roli pracował chłop i szlachcic. Dziś warsztat ten otwarty dla każdego, kto szczerą chęć i ochotę okaże. Przyznajecie sami, czy nie jest źle? czy podział jest równy? czy dziesiątki tej młodzieży siedzącej w Warszawie nieprzydałyby się na prowincyi? jeżeli nie do roli, to do innych praktycznych zajęć. Właśnie z głową przyjdźcie między nas ciemnych i zacofanych, właśnie światłem nauki rozbijcie ciemności, bo niesztuka kąpać się w świetle, gdy wokół nas gruba ciemność panuje. Chciejmy tylko.... domięszajmy do osobistych naszych widoków i przewidywania przyszłości szczyptę myśli o pomyślności drugich, odnajdźmy w duszy naszej strunę serdeczniejszą, drgającą dla dobra współbraci, idźmy każdy w swoję stronę, niezapychając miejsc, a zawsze z myślą o jutrze. Gdy w taki sposób podzielim się na różne grupy pracowników, podział ten będzie z pewnością *równy*.

Ar. Za.

CZARNY LAS.

(Dokończenie.)

Drugie opactwo założone było pod wezwaniem S-go Błażeja, a zakonnicy zamieszkujący je, zjednali sobie słuszną sławę historyków, nietylko bowiem spisywali roczniki i kroniki austryjackie, ale je u siebie drukowali. Każde prawo nadane w świętym Imperyjum, było przez nich zapisane; każden akt przez Habsburgów podpisany, przechodził przez ich ręce. Kilku z nich, jak Eichhorn, Nargort, Marcin Gerbert szczególniej, zostawili prace bardzo cenione przez nowożytnych historyków. Zresztą nie było to nic dziwnego, bo zakonnicy ci byli Benedyktynami. Jedna z ostatnich prac pomyślanych, opracowanych i wydanych pod sklepieniami tegoż klasztoru nosi tytuł: Historia Nigrae Sytrae ordinis Sancti Benedicti. Coloniae, opera et studio Martini Gerberti, collecta et illustrata. Typis ejusdem monasterii. 1783. Dzisiaj pod temi starożytnemi sklepieniami już nic nie drukują. Rewolucyja francuska wypędziła Austryją z południowej części Czarnego lasu, zakonnicy ze swemi manuskryptami, archiwami, drukarniami i relikwijami, zmuszeni byli opuścić klasztor i przenieść się aż do Karyntyi.

Kościół tylko pozostał nienaruszonym: inne budynki, jak klasztor, cele, biblijoteka, korytarze, sypialnie, sale ochrony etc., zajęte są na fabrykę tkanin. Przemysł nic nie szanuje, ze wszystkiego korzysta; daj mu co świat najbardziej szanuje: klasztor, muzeum, ołtarz, grób, aby mu tylko dogodnie i przestronno było, nie będzie się na nie oglądać. Wzdychajcie po cichu poeci! a wy kupcy, cieszcie się!

Ale, ponieważ nie zawadziliśmy o opactwo S-go Błażeja dlatego tylko, aby zanotować na naszych kartkach podróżnych ilość bawełny i tkanin wyrobionych w jego warsztatach, pozwolisz czytelniku, że ci opiszę legendę do niego przywiązaną, że rzucę na ten obszerny cmentarz kwiatek poezyi. Jezioro Westchnień leżące w bliskości, dostarczy nam do niej wątku.

W pierwszych latach dwunastego wieku, zacny rycerz imieniem Konrad, młodszy brat księcia Zehringen, opiekuna opactwa i założyciela miast Fryburga i Szafhuzy, mieszkał w bliskości tego jeziora, wybudowawszy sobie pałac po swoim powrocie z Palestyny.

Najdroższym życzeniem dumnych panów owej epoki było pozostawić potomka płci męskiej, aby wraz z imieniem odziedziczył po nich dobra, herby, rozgłos i przykład. Otoż żona tego rycerza, ukochana przez niego i gorzko opłakiwana, umarła w kwiecie wieku, zostawiwszy maleńkiego synka tak delikatnego i wątłego jak ona. Konrad dokładał wszelkich starań, aby swemu dziedzicowi nadać więcej zdrowia, siły i świeżości, wszystko napróżno: śmierć niezawodna wisiała nad głową dziecięcia. Co tylko może nauka, złoto i miłość, robiono, aby sprowadzić rumieniec na jego twarzyczkę, w jego oczy wlać iskrę ożywienia. Ani wzmacniające napoje, ani zaklęcia magików, ani uczone re-

---

Dowiadujemy się z *Gazety Polskiej*, że jest zamiar wydawania w terminach podobno miesięcznych *Biblijoteczki dla dzieci*. Jeżeli dobrze ogólnikowy jej program rozumiemy, ma to być zbiór książek do czytania, których treścia będą *powiastki, opisy podróży, popularny wykład nauk przyrodzonych* i t. p. Cieszymy się bardzo, że ruch na polu literatury pedagogicznej wzmógł się w ostatnich czasach znakomicie; jestto dowód należytego zrozumienia jednej z najważniejszych spraw naszych. Chcielibyśmy tylko, ażeby w wydawnictwie tym zachowana była pewna systematyczność, któraby rodzicom i wogóle mniej wprawnym wychowawcom wskazywała, w *jaki sposób mają zacząć i prowadzić czytanie dziecinne.* Dotychczas rzecz ta zostawiona była powiększej części losowi; rodzice kupowali raz na rok pewną liczbę książek dla dzieci (kierując się nieraz w wyborze ich względem *na taniość)*, oddawali je dzieciom, które przygotowane czy nieprzygotowane do tej lektury, albo je odczytywały, albo też pozwalały im swobodnie odpoczywać. Taki tryb postępowania powinien uledz zmianie; ażeby zaś ku tej zmianie umysły przygotować, potrzeba książek ułożonych podług pewnego stałego planu, zasadzającego się przedewszystkim na tym ażeby od rzeczy łatwych i znanych przechodzić *stopniowo* do rzeczy trudnych i nieznanych. *Stopniowanie to w czytaniu* powinno być ściśle a oględnie zastosowane i przeprowadzone jak można najdokładniej w sposobie wychodzenia samych książeczek. Gdy się do tego ogólnego planu przyłączą zalety wykonania w pojedyńczych ustępach do czytania, artykułach, powiastkach i t. d.;—można będzie mieć nadzieję, że dzieci nasze dostaną do ręki książki, mogące im przynieść istotną korzyść. Robimy tych kilka uwag w tym przekonaniu, że sprawa wychowania wszystkich zajmować powinna, bo jest sprawą ogólną.

* * *

W dwu zeszytach noworocznych *Biblijoteki Warszawskiej* (za styczeń i luty) znajdujemy kilka artykułów zasługujących na uwagę. Dwa z nich jednakże dotąd nieukończone (Stanisław Moniuszko przez p. Wilczyńskiego i Warszawa przed 1830 przez p. K. W. Wójcickiego—mowa ta głównie o teatrze) zostawiamy obecnie bez rozbioru. Wspominamy tylko: *Nowe prawo hipoteczne* pruskie przez p. Zielińskiego' pracę odznaczającą się gruntownym zbadaniem i sumiennym obrobieniem przedmiotu; dalej *kronikę zagraniczną* mianowicie za m. luty, gdzie znajdujemy kilka drobnych ale ciekawych szczegółów z życia Julijusza Słowackiego i *Przegląd prasy peryjodycznej*, pisany zbiorowo a obejmujący dotychczas krytykę całorocznej działalności: Niwy, Przeglądu Tygodniowego Przyrody i Przemysłu, tudzież naszego Opiekuna. Krytyki te niejednakową oczywiście mają barwę, gdyż w nich odbić się musiała indywidualność ich autorów. W niektórych, pojawił się sposób oceniania cudzej pracy, którego nie spodziewaliśmy się nigdy napotkać na kartach Biblijoteki. Nie sądzimy bowiem, ażby gwałtowne potępianie cudzej działalności i tendencyjne wyszukiwanie frazesów dla wykazania wad w przeciwniku, mogło uchodzić za sumienną, istotnie naukową krytykę; zwłaszcza, jeżeli się *własnych zasad*, na których się krytyka wspierać powinna, nie wypowiada. Drwinkowanie, sadzenie się na koncepta, insynuacyje rzucane półsłówkami, nie mogą sobie zasłużyć na nazwę *walki o przekonania*. Jeżeli chcemy, ażeby nas szanowano, powinniśmy przedewszystkim przeciwników naszych szanować, inaczej nie będziemy dziennikarzami — obywatelami; lecz zaindorzonemi malcami, którzy w tym szukają chluby, kto komu lepiej dotnie, kto będzie *duższy*, jak mówią na Litwie. Z tego powodu, pomimo różnicy w niektórych przekonaniach, najwięcej cenimy krytykę p. Wałeckiego o „Przyrodzie i przemyśle."

Co do zarzutów czynionych naszemu pismu,

cepty doktorów, ani pielgrzymki do miejsc świętych, ani podróże do krajów południowych, nie mogły mu sił nadać. I biedny ojciec wyczerpawszy wszystkie środki, nie walczył już, tylko płakał. Lecz żeby dziecię nie widziało jego łez i nie smuciło się niemi, gdy czuł, że się od płaczu wstrzymać nie może, wychodził z zamku, i zatrzymywał się nad brzegiem jeziora, pod cieniem świerków, które go zasłaniały przed wzrokiem ludzkim i tam dawał folgę swojej boleści. Jęk podnosił jego męską pierś, łza wpadała do wód jeziora, rysując na chwilę jego powierzchnię; zresztą nikt go nie widział, żaden strzelec z gór, żaden pasterz z pastwiska.

Nasz zacny rycerz byłby się zawstydził, gdyby go kto płaczącym i rozpaczającym zobaczył, jego, który tak walecznie bił się z niewiernemi na Wschodzie i z Saracenami w Sycylii. Może łzy matek w żałobie i ojców w rozpaczy liczone są i zbierane gdzieindziej, wyżej niż śniegowe szczyty, aż wierzchołki zielonych świerków i niebieska para przestrzeni.

Bądź co bądź, biedny rycerz Konrad, choć sam był bardzo nieszczęśliwym, nie stracił współczucia i litości dla innych, przeciwnie, zwiększyły się one u niego. Jednego dnia, gdy samotnie płakał, spostrzegł przed sobą nad brzegiem jeziora maleńką rybkę, która skoczywszy zbyt silnie, znalazła się na piasku. Już łuszczka jej straciła żywość kolorów, oczki straciły blask, od czasu do czasu lekko już tylko poruszała skrzelami. Konrad spostrzegł ją przez łzy i pożałował biednej rybki i wziąwszy ją, wrzucił do wody; w tej chwili radośne poruszenie ogonkiem dało mu poznać, że jego pomoc nie przyszła zapóźno, że rybka odżyła. „Niestety, rzekł, dla tego stworzonka radość zajaśniała.“ Potym wzniósł oczy i ze zdziwieniem zobaczył starca stojącego przed sobą.

Skąd przyszedł, do dziś dnia nikt o tym nie wie; może to był jaki święty opiekun tego miejsca, w którym Konrad się modlił i płakał, może poprostu pobożny pustelnik z gór. Niech będzie co chce, dość, że wziąwszy rycerza za rękę, temi do niego słowy przemówił:

„Mój synu, na co te płacze i skargi? Co Bóg postanowi jest dobrym, dziś przez moje usta do ciebie przemawia i każe ci mieć nadzieję. Świeżość tej wody, jak widzisz, powróciła życie tej rybce, ona może coś więcej zdziałać; ona dla ciebie w sobie ukrywa dobrodziejstwo: powierz jej twe dziecię.“ A gdy Konrad się wahał między zdziwieniem i przerażeniem, między nadzieją i obawą, rzekł mu starzec:

„Czyś zapomniał, że tu codzień cierpisz, modlisz się i płaczesz? Konradzie, łzy ojca są dość czyste, dość wszechmocne, aby dziecięciu powrócić zdrowie i siły, życie i szczęście. Kąp w tej wodzie twego drogiego syna, ufaj i bądź błogosławiony, albowiem twoje łzy nadały tym wodom moc uzdrawiającą.

Dobry rycerz uwierzył i dziecię było uratowane: zdrowie, wesołość, siły, rumieńce wróciły na policzki, odkąd codzień kąpał się godzinę w błogosławionym źródle. Ale że zwykle wszystko co smutne głębiej się wraża w pamięć ludzką, więc jeszcze do dziś dnia zachowało się przezwisko jeziora Westchnień, pamięć łez i boleści ojca, przeżyła pamięć uzdrowienia syna. Wody do dziś dnia zachowały uzdrawiające własności i doktorzy z Fryburga, Strasburga i Haidelberga doradzają je osobom osłabionym, wątłym i delikatnym.

Ale dość już legend. Nie mamy bowiem zamiaru wyłącznie się zajmować tradycyją, powiastką i śpiewką Czarnego lasu. Nauka i historyja ważniejsze są dla rozumnych ludzi. Czarny las i dla tych bogatego materyjału dostarcza. Jest bowiem kolebką Dunaju i grobem Turenijusza. Wielka rzeka cieszy się inną choć nie mniejszą sławą od wielkiego wojownika. Bierze początek o 8 lub dziesięć mil od małego miasteczka Donauszwingen, z połączenia dwu źródeł wypływających z gór Rosek i Saint-Georges. Strumyki tworzą rzeki, z atomów powstają światy. Najlżejszy powiew wiatrów, ziarnko piasku, listek trawy, kropla deszczu, mogą w danej chwili mieć swe przeznaczenie i swój wpływ na harmoniją wszechświata i gdy płyną, wzrastają, padają, przewidzieć nie można: „gdzie pójdą, jak skończą?“

Możnaby te słowa zastosować do kuli, która trafiła Turenijusza. Nie zginął on u źródeł Dunaju, ale dość od nich daleko, na drugiej stronie gór Czarnoleskich, między uśmiechniętemi i spokojnemi wioskami Achern i Insbach, naprzeciwko Strasburga. Pomnik jaki mu Francyja wystawiła, jest jedyną pamiątką chwały i żałoby, wznoszącą się pośród najpiękniejszych i najweselszych krajobrazów, najświeższej zieloności. Jestto obelisk granitowy, prostej formy, noszący datę i napis: Francyja Turenijuszowi. Wystawiony w roku 1829. Na czterech ścianach podstawy umieszczone są: profil nieboszczyka, tarcza herbowa z herbem we środku, wyliczenie jego zwycięstw, dalej te słowa, które wystarczą za największy panegiryk: „Tutaj był zabity Turenijusz 27 Lipca 1655 r.“ Tuż przy obelisku leży dawny kamień, gdzie te same słowa wypisane są po łacinie; ma on wskazywać właściwe miejsce, na którym padł bohater. Na przeciw obeliska jest wzniesienie, na którym ustawiona była bateryja Hermana Badeńskiego, z niej wyszła kula, która trafiła Turenijusza. Inne miejscowości Palatynatu noszą ślady francuskich wojowników i pamiątki po Turenijuszu. Małe miasteczko Brisach, położone w najżyźniejszej okolicy gdzie dziś wznoszą się trzy miasta i ze 20 miasteczek, a które skutkiem swego położenia strategicznego, nazwane było „kluczem Niemiec i wezgłowiem Cesarstwa,“ często bywa wspominane w wojnach Francyi z Palatynatem. Było oblężone przez francuzów i znosiło niesłychane cierpienia, które tak opisuje pewien ksiądz naoczny świadek:

„Głód był dokuczliwy, a nie było na niego lekarstwa. Codzień pewna liczba mieszkańców i żołnierzy umierała z braku żywności. Nie rozdawano już wojsku chleba, tylko po funcie mięsa końskiego, kosztującym 12 krajcarów. Cierpienia głodowe do takiej rozpaczy dopro wadzały mieszkańców, że dzieci już nie były bezpieczne w mieście! W końcu już nic nie było do jedzenia, tylko skóry krowie i końskie, z których każda kosztowała 11 talarów, t. j. 40 franków. Kwaterka zboża kosztowała 40 złotych, bochenek chleba dukata, ćwiartka psa 1 złoty 12 krajcarów, jajko złoty, ćwiartka kury 14 talarów, kot 3 złote, mysz 30 krajcarów, szczur talara i t. d. Wielką oberżę leżącą przy pałacu, właściciel odstąpił za 3 bochenki chleba i pierścień złoty. W ciągu trzech miesięcy pochowano 500 osób umarłych z głodu, oprócz tych, których chowano gromadami w polach i ogrodach. Wiele trupów zjedzono.“

A oblężenie trwało rok, poczym ludność zdziesiątkowana, była przymuszoną otworzyć bramy miasta. Biedne miasto zniosło nietylko cierpienia głodowe, ale w roku 1793 ogień francuski zapalił je i ślady pożaru do dziś dnia pozostały.

Cóż robić, zaślepienie ludzkie tak chciało i dziś jeszcze tak chce. Czas postępuje, ruiny się gromndza, nauk i przykładów przybywa, a postępów nie widać. Wbrew tylu naukom i wspomnieniom, wojna, ta straszna niszczycielka ziemi, dalej swój krwawy ślad znaczy, a gdzie swój sztandar zatknie, wszędzie za sobą pro-

---

nie możemy tu na nie odpowiadać; nie opierają się one na faktach, lecz na rozumowaniu, w takim zaś razie spór musiałby być bardzo długim i niewiele przyniósłby korzyści. Stąd też poprzestajemy tylko na wyjaśnieniu nieporozumienia, jakie zaszło co do ocen zeszytów Biblijoteki w szpaltach Opiekuna. Oceny te pomieszczaliśmy systematycznie nie dla szykany, bo uważny czytelnik nieraz napotkał w nich i pochwały dla wielu artykułów, lecz robiliśmy to dlatego, że uważaliśmy za potrzebne zaznajamiać czytelników naszych z tym, co w kraju wychodzi. Pismo naukowe, istniejące od lat 33 położyło dla społeczeństwa naszego niezaprzeczone zasługi;—mówić o nim było naszym obowiązkiem; i pomimo gniewu Biblijoteki, obowiązek ten spełniać będziemy i nadal.

* * *

Pierwszy zeszyt (za styczeń) *Biblijoteki Rolniczej*, wychodzącej jak, czytelnikom naszym wiadomo, pod kierunkiem nowego redaktora, odznacza się wielkim urozmaiceniem treści. Są tu artykuły dotyczące ekonomiki, chemii, fizyki, produkcyi roślinnej i zwierzęcej, jest *przegląd literatury krajowej* i *zagranicznej*, są wreszcie i *Rozmaitości*, w których pokrótce ale asno i przystępnie wyłożone są poglądy o znaczeniu, „*nauk przyrodzonych* w *naszych czasach*“ *Dodatek* mieści w sobie dalszy ciąg *Zasad Rolnictwa* przez p. Karola Majewskiego (od str. 273—336.)

Nie możemy się oczywiście wdawać w szczegółowy rozbiór wszystkich artykyłów, z których każdy, zdaniem naszym oceniony być winien przez pisma specyjalne (Ekonomista, Przyroda i Przemysł, pisma rolnicze): ale niepodobna nam nie zwrócić uwagi na lekceważenie *przemysłu i handlu*, jakie w *przeglądzie literatury krajowej* napotkaliśmy. Autor tego *przeglądu* twierdzi stanowczo: że rozwój przemysłowy u nas nie przynosi żadnej dla kraju wygranej i bogaci tylko kapitalistów (str. 93). Jestto jednostronność, mogąca wielu ludziom niepotrzebnie głowę zamącić, jestto przesada na korzyść rolnictwa, która jednakże nie może mu przynieść istotnego pożytku. Nam się zdaje, że u nas zarówno rolnictwo jak przemysł i handel potrzebują zachęty, bo apatyja, brak wyrobionych pojęć ekonomicznych i nieznajomość środków podniesienia bogactwa w kraju, tak jest zbyt rozpowszechniona, ażeby *ogólnikami* albo od rolnictwa albo od przemysłu i handlu krajowców odwodzić.

* * *

Z radością witamy projekt „*Kasy pożyczkowej wyrobników*“, mający się już niedługo urzeczywistnić. Dowiadujemy się bowiem, że przygotowana ustawa w tych dniach zostaje przedstawioną do zatwierdzenia, i że zaraz po uzyskaniu urzędowej sankcyi, nowa ta instytucyja rozpocząć ma swoję działalność. O ile zaś działalność ta staje się pożądaną, za tym przemawiają nazbyt niestety głośne, całe szeregi wywalczających krwawo każde dzisiaj, a niepewnych jutra, pracujących z dnia na dzień pracujących bez wytchnienia, a mimo to żyjących w ciągłej trosce i nędzy, bo *wyzyskiwanych przez lichwę*, przyszłych instytucyi tej uczestników. Ktokolwiek zresztą życie naszych warstw wyrobniczych zna bliżej, ten przyzna niewątpliwie, iż tej mianowicie natury „kasy pożyczkowe“ mogą się najdzielniej do uszlachetnienia tego życia przyczynić, że wyrywając tysiące biednych pracowników z rąk lichwiarzy, wpływając tym samym na podniesienie materyjalnego i moralnego bytu pracujących zastępów, oddać mogą z czasem społeczeństwu olbrzymie i niezaprzeczone usługi. Te też mówiąc o samej tej tyle obiecującej myśli nie możemy nie dodać, że głównym jej promotorem jest p. Henryk Barchan, właściciel ziemski a zarazem kupiec zamieszkały w Warszawie, który obok podjętych już obecnie

wadzi pożar, ruinę i nędzę. Czarny las widział ją przeciągającą dawniej i dziś, a kto wie czy nie ujrzy jej jeszcze kiedybądź, jeśli czasy pokoju i sielanki niedługo potrwają.

K. S.

PRACA I KLASY PRACUJĄCE

przez

E. Menu de Saint-Mesmin.

(Ciąg dalszy).

II.

W świecie moralnym zarówno jak i w świecie fizycznym często bardzo dopiero burza ustala równowagę.

Na ruinach Rzymu rozsiadły się nowe narody, a z niemi i nowe kiełkować zaczęły idee. Przedewszystkim praca ludzka (a rozumiemy pod tym wyrazem cały zakres działalności, która ludziom zapewnia pokarm, odzież, schronienie i t. d.), na innych zupełnie oparła się podstawach. Niewolnictwo upadło, na jego miejsce powstał wielki, obszerny system *poddaństwa.*

Różnica niewoli od poddaństwa uderza w oczy. Niewolnik jest rzeczą, poddany—człowiekiem. Jakiż to już wielki postęp! Ale mimo to wszystko, mimo ulepszeń w położeniu klas pracujących, były i wielkie w poddaństwie wady. Robotnik i tu jeszcze nic swojego nie miał; ziemia, na której pracował, należała do jego pana; on do niej przywiązany był wszakże, stanowił jak gdyby pewne jej akcesoryjum, tak dalece, iż nawet wraz z nią mógł być sprzedanym. W tym stosunku nie sprzedawano wprawdzie ludzi bez ziemi, ale i ziemi bez ludzi nie sprzedawano również. Byli wprawdzie i uprzywilejowani poddani. Obok przywiązanych do ziemi, byli inni, którzy mieli prawo przenoszenia się z jednego kawała ziemi na inny, ale to były tylko wyjątki. Wogólności poddany był na łasce swojego pana.

Oto przykład: Pewien hrabia z Szampanii słynął jako człowiek tkliwego serca i dobrych skłonności. Pewnego razu, gdy jechał odwiedzić swego sąsiada, w drodze zatrzymuje go żebrak i prosi o jałmużnę. Hrabia, wzruszony widokiem nędzy biedaka, zwraca się do swego kasyjera i rzecze:

— Sięgnij do worka z pieniędzmi i wesprzyj proszącego.

— Wydaliśmy już po drodze wszystkie pieniądze i nie mamy w tej chwili nic do rozdania.

— Czyż nic? — wtrącił żebrak z zasmuconą twarzą.

— A nic,—powtórzył kasyjer.

— Do kroćset, jakto nic?—zawołał pan rozgniewany. — Stać mię jeszcze na jałmużnę: człowieku dam ci... mojego kasyjera.

I żebrak zabierał się do wzięcia za rękę darowanego mu człowieka, jak rolnik np. zabiera na jarmarku swe bydlę, gdy wtym kasyjer sięgnąwszy do skrytej kieszeni, wydobył z niej sakwę ze złotem i winszował sobie jeszcze, iż za takie wykupne ocalić się zdołał. (Ten szczegół wzięty jest z opowiadania p. Ernesta Morin).

Nikt nierozciąga opieki nad losem poddanych w owych czasach, bo nikt nie mógł walczyć z potęgą panów, chyba król jeden. Przed oczyma mam właśnie tekst pewnego prawa, który zasługuje na to, ażeby był w tym miejscu przytoczony. Mocą tego prawa, Filip Piękny, król francuski, zważywszy, iż wszelkie stworzenie na obraz i podobieństwo boże zostało stworzonym, a więc z natury zostało wolnością obdarzone, obdarowuje wolnością wszystkich poddanych.(Prawo, czyli t. *ordonnance* z r.1312). Król, któryp o nim paował,idzie dalej: ogłasza wolność wszystkich poddanych korony. Co więcej, zwraca się do panów lennych i wręcz im oznajmia, iż byłoby mu bardzo miło, gdyby wzięli w tej mierze przykład z jego królewskiej mości. (Prawo z r. 1315).

Panowie lenni cóż na to?

Panowie lenni, słysząc to, zrobili wielkie oczy. Niedowierzali, sądzili, że ich król i pan uległ wpływom jakiej czczej teoryjki, nie zaś podszeptom zdrowej i mądrej polityki.

A jednak, jeszcze 500 lat później *La Bruyère* nie mijając się z prawdą, nie używając barw za silnych, mógł nakreślić następujący obraz rolnika: „Widzimy mnóstwo jakichś stworzeń po wsiach, czarnych, prawie oliwkowych od słońca, przywiązanych do ziemi, którą uprawiają z wytrwałością i obojętnością, aż do osłupienia posuniętą. Głos mają artykułowany, a kiedy się na nogi podniosą, okazują postać podobną do człowieka, i w istocie... są ludźmi. Na noc chronią się do swej jamy, w której żywią się chlebem jak ziemia czarnym, wodą i korzeniami. Oszczędzają swych panów, ażeby niepotrzebowali siać, orać i zbierać plonów, oni zaś mogą żyć i bez tego za ich pomocą. — Czyż wobec tego powinno braknąć chleba tym, którzy go własnemi rękoma gromadzą!“ (*La Bruyère*, Les caractères ou les moeurs de ce siècle; de l'homme CXXVIII.).

W miastach los robotników niebył lepszy. Wszędzie na pracy ciąży jarzmo przekleństwa. Praca jest w tym stanie rzeczy upokorzeniem człowieka, pozbawia go praw i należnych mu przywilejów. Za czasów Ludwika XIV-go we Francyi był pewien minister, który chciał rozwinąć przemysł krajowy i powiększyć liczbę fabryk. Cóż musiał uczynić? Dozwolić szlachcie pracować, nie pozbawiając jej przywilejów.

W końcu XVIII-go wieku stan ten jeszcze nie znikł. Gdy wówczas francuzi usiłowali zniszczyć te ostatnie resztki barbarzyństwa feodalnego, mniej więcej w tych słowach odezwał się pewien uczony: „sześć wieków tak było, chcecież teraz żeby było inaczej?“ a czy wiecie kto się tak odezwał?— *Voltaire.*

Królewskość, która chciała feodalizmowi zadać cios stanowczy, nieraz brała lud w swoję opiekę, a więc i ludzi pracy. Ci też to właśnie, aby uwolnić się spod jarzma opieki swych panów i aby zbyt drogo nie okupić swojej wolności, zawiązali między sobą ligę pracowników, skąd powstały *korporacyje* (cechy). Korporacyje tedy w swojej zasadzie tworzyły towarzystwa wzajemnej pomocy. Niestety jednak w kolei czasu i one wyrodziły się okropnie, zapomniały zupełnie zarówno o źródle, z którego powstały, jak i o celu, który osiągnąć miały i stały się znowuż później źródłem nowych zapór dla pracy i jej uciemiężenia.

Aby się o tym przekonać, potrzeba jedno z nich tylko rozpatrzyć, gdyż wszystkie są do siebie podobne, a zobaczymy, jakim trybem szły w nich rzeczy, lat temu sto.

Każda korporacyja miała swoję kaplicę. Wielkie sale służyły na szpital, albo na miejsce obrad nad wspólnemi interesami i potrzebami; korporacyja jest ostatecznie stowarzyszeniem bratniej pomocy i wzajemnej opieki.

Ażeby zrozumieć mechanizm zarówno jak i ustrój wszystkich pojedyńczych części stowarzyszenia, zauważmy przedewszystkim jego skład i powstawanie.

Do składu rzemieślniczego organizmu wchodzą majstrzy, czeladnicy i uczniowie czyli chłopcy. Ci ostatni, uczą się rzemiosła, i dążą do tego, ażeby zostać czeladnikami. Ci ostatni wzdychają znów do godności majstrów. Ci do-

---

starań ma nadto nowo-narodzoną kasę znacznym wesprzeć zasobem.

* * *

Dziwny to naród ci feljetoniści! Oto jeden z nich (w dodatku, warszawski); mający w rubrykach swych notować skrzętnie fakta społecznego życia, takie zrobił odkrycie: „Czy chcecie, abym ukazał ten kamień, co zawala nam drogę na każdym życia kroku skierowanym do szerzszego działania? Otóż nie brak kapitału, panowie finansiści, zachowajcie go sobie (o... oni też zachowują!) nie brak pracy i jej podziału, panowie ekonomiści, bo praca zawsze była i jest gotowa, (???) a ludzie jak mrówki podzielić się nią mogą i muszą; nie brak handlu i przemysłowego rozwoju, lecz główną i jedyną przyczyną letargu, jaki *strupieszył* ogólne siły nasze i wystudził w jednostkach (z wyjątkiem zapewne autora tego monologu) energiję, jest brak wielkiego i ogólnego celu, jaki tylko umysły wyższe, dusze zacne i serca poświęcone zrozumieć i wytknąć sobie, a wspólnemi siłami dążyć ku niemu mogą.“ (!!!) Niechże kto powie, że feljeton niektórych organów naszych, zapełniane *prawie wyłącznie* tego rodzaju tyradami, nie są skrzętną notatką faktów żywotnych, że nie odzwierciadlają w sobie ducha danej chwili społecznej, że przeto nie rozmijają się ze swym doniosłym w gruncie rzeczy zadaniem jak i ich autorzy z trzeźwą obserwacyją i... z najzwyczajniejszą logiką.

* * *

A jednak zamiast tych bezowocnych lamentów nad naszą stupieszałością, (?!) czyż nie lepiej,czyż nie korzystniej byłoby wpatrywać się w rozwijającego się w nas bądź co bądź ducha stowarzyszeń, czy nie należałoby na ten mianowicie punkt zwracać bliższej uwagi i z tej nadewszystko dziedziny zbierać, notować i podnosić interesujące szczegóły, i to tym więcej, gdy tych ostatnich z każdą niemal chwilą nam przybywa. Tu i owdzie z tej lub owej strony, zawsze słowem, gdy kto tylko nadsłuchuje pilnie, pochwycić może jakąś świeżą wieść o nowo zawiązującym się stowarzyszeniu, o projektowanej czy też urzeczywistnionej już spółce. Ot w tej chwili np. mamy do zaznaczenia agitującą się myśl utworzenia się spółki, w celu podniesienia i prowadzenia zakładu wód mineralnych w Solcu. Do miasta tego podług projektu przygotowanego przez p. Godefroy, dzisiejszego właściciela zakładu, ma przystąpić z odpowiedniemi udziałami 140 spólników w tej liczbie wielu z naszych lekarzy, z czego ma zebrać się kapitał potrzebny oznaczony na 45,000 rubli. Zakładowi mają przybyć tym sposobem nowe dla leczącej się tam publiki wygody, mianowicie mają stanąć hotele, rozprzestrzenić się łazienki, ulepszyć środki eksploatacyi źródeł miejscowych i t. p. Myśl ta zdaniem naszym powzięta nader na czasie, i z wielu względów tak dla samych twórców przedsięwzięcia, jak dla naszych interesów krajowych nieposlednie zapewnia zyski. Zakład zreformowany i ulepszony ściągać naturalnie będzie (wobec zwłaszcza niedalekiego już ułatwienia środków komunikacyi) większą nierównie liczbę chorych, z drugiej zaś strony ci ostatni nie będą zmuszeni szukać przeróżnych.... „badów“ wywozić pieniędzy z kraju i wzbogacać niemi zagranicznych sąsiadów. Nie wątpimy więc, że przedsięwzięcie tego zakresu i celu znajdzie rzeczywiste i rozumne poparcie.

* * *

Na poparcie też niemniej zasługuje i świeżo znów kiełkująca myśl utworzenia pod kierunkiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego *Stowarzyszenia wzajemnego ubezpieczenia* na tych samych zasadach, jakiemi rządziła się niegdyś b. Dyrekcyja Ubezp. Dziś, gdy istnie-

piero pełnych używają przywilejów; chłopcy i czeladnicy zaś, mają same powinności tylko, ale praw żadnych.

Zasady postępowania cechów są takież same, jak i pojedyńczych rzemieślników. Nie mają one żadnego innego celu przed sobą, jak tylko strzedz pilnie praw i interesów samych majstrów; o innych ludzi pracy wcale im nie szło. Dla siebie oni stanowią także i towarzystwo opieki nad staremi; w razie niemocy lub dłuższego cierpienia *ipso facto* zyskują prawo do czynnej w tej mierze pomocy, przeciwnie— czeladnicy; jeśli dla tych coś będzie zrobionym, to chyba przez litość, wspaniałomyślność i szczodrobliwość. Szpital składa się z sal małych, w których chorzy majstrowie bywają pomieszczani. Czeladnicy znajdowali tu wprawdzie w pewnych wyjątkowych warunkach dla siebie opiekę, ale ją drogo musieli okupić.

Organizacyja tedy cechowa, widzimy to dobrze, przeprowadzała różnicę między ludźmi ze stałością, w jakiej jej żadne, najsurowsze kasty nie zrównały nigdy. W duchu tych cechów nie działo się inaczej; zawsze jedni mieli same tylko prawa i przywileje, a drudzy, same tylko znosili ciężary i dźwigali obowiązki. Nie mówiąc już nic o terminatorach (chłopcach), których los był prawdziwie pożałowania godzien, nawet czeladnik jest jeszcze eksploatowanym na korzyść majstra i rzeczywiście uciemiężanym. Za olbrzymią pracę dostawał więcej niż mierny zarobek. Gdy chciał postąpić na majstra, musiał żyć z oszczędności wielu lat swojej tak ciężkiej pracy. Najczęściej, wyczerpany materyjalnie, złamany moralnie w połowie tej drogi ustawał, z rezygnacyją postanawiał do końca życia być już zawsze tylko czeladnikiem, wpadał więc w nieokreślony stan tymczasowego życia, kontentował się co najwięcej należeniem do jakiegoś tajnego, ukrytego czeladniczego stowarzyszenia i tak z dnia na dzień, z roku na rok, pędził swoje ślimacze życie.

Cierpienia zamiast hartować jego charakter, otwierać mu pogląd na życie i serce doskonalić, przytłumiały jego umysł i odbierały mu wszelką energiją działania. Natomiast wzajemna nieufność, niewiara i niechęć zakorzeniała się silnie między ludźmi pracy. Czeladnik mścił się na terminatorach, za los, którego sam ze strony majstrów doświadczał.

Gdy wreszcie czeladnik tak długo pożądane przez siebie stanowisko posiadł, czy był swobodny, czy mógł według swej woli zajmować się swoim rzemiosłem? Tak, ale o tyle tylko, o ile nieopuścił swego miejsca zamieszkania, o ile, gdy jego rzemiosło graniczy z jakimbądź innym, postara się i o to, aby zostać w nim majstrem, o ile...... etc., nieskończylibyśmy, gdybyśmy chcieli wszystkie wyliczyć więzy krępujące swobodę jego działania.

Tak tedy, korporacyje, które pierwotnie były osłoną, opieką i pomocą dla klas pracujących — wkrótce odbiegły od głównego swego zadania, i stały się jakąś feodalną, tyrańską instytucyją, stały się twierdzami prawie niezdobytemi, w których to było szczególnego, że każdy z tych, którzy w nich byli, uważał się za wroga drugiego. *(d. n.)*

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Spod Myszej-Wieży w Lutym 1874 r.

Jestem posłuszny wołaniu „Opiek." a obok tego obiecawszy w jednej z dawnych moich korespondencyi obszerniejszy opis Popielowej wieży, dziś chcę z nią bliżej poznajomić szanownych czytelników. Że jednak akcesoryja wprzód zawsze poznać trzeba, zanim do głównego przedmiotu się zwrócimy, pozwolicie, iż cofnę się trochę w tył, i opiszę choć pobieżnie miejscowość, w pośrodku której znajduje się baszta kruszwicka.

Wszyscy słyszeli o Kujawach, wszyscy wiedzą, iż to jedna z prowincyj naszego kraju, gdzie ziemia dobra—lasu brak, drogi fatalne a lud dziarski i wesoły jak szukać daleko. Wszyscy także wiedzą, że Kujawy leżą w stronie zachodniej Królestwa Kongresowego, że mają kilka rzek, rzeczek i sławne od najdawniejszych czasów jezioro *Gopło*. Jezioro to jednak w większej części leży już z tamtej strony granicy (W. K. Poznańskie), kawałkiem tylko wchodząc do Królestwa: prowincyją zaś samę granica prawie na pół przedziela. Jeżeli wiec wyjedziecie za granicę, a natrafiwszy Gopło, udacie się jego brzegami, to dwie mile ujechawszy, ujrzycie cypel ziemi, wchodzący w jezioro, na skraju którego stoi potężna baszta „*Myszą Wieżą*" nazywana. Zdaleka już we mgle widnieje ogromny jakiś słup imponujacy swym ogromen. To Mysza Wieża. — Spostrzegamy, że inne budynki maleją przy tym dawnym zabytku architektury; ciekawość nasza wzrasta, łódka mknie po cichej fali i przybliżamy się coraz bardziej do zamku z myszy słynnego. Przyjeżdżając łódką od strony południowej, napotykamy niewielką wysepkę o dość wysokich brzegach, pełną krzewia i wierzbiny, która przed laty, jak to jeszcze pale bite pod wodą i sypana grobla pokazują, łączyła się ze stałym lądem i zamkiem głównym. Tu według baśni ludowej, miał się chronić nieboszczyk Popiel przed natarczywemi myszami—i tu pod jedną wieżą ducha wyzionął. Wierzbę tę starzy ludzie mieli jeszcze oglądać. Dodają oni, iż pod nią nigdy trawa nie rosła na znakach rozkrzyżowanego człowieka. Chciałem zobaczyć tę wierzbę, powiedziano mi, że ścięta niedawno. Wyspę zwie lud *Rzempowem*. Za wyspą jezioro rozchodzi się na dwie odnogi, jedna krótsza kończy się zaraz pod Kruszwicą, druga ciągnie się daleko jeszcze, mija miasto; wspaniałą wieś Kobylniki, dalej Szarlej i za tym ostatnim przerywa swoje wody. W tym więc rozbiegu wód, rycerze jacyś mieli wybudować zamek, otoczyć murem i wałem, zaprowadzić most zwodzony, pobudować wspaniałe filary i t. p. Jak tam było z początkiem, niewiemy, dość, że dziś dzięki staraniom rządowym i okolicznych właścicieli, ten pomnik dawnej wojny i dawnego budownictwa przedstawia się pięknie oczom naszym. Proszę sobie wystawić na skraju ziemi, wchodzącej w jezioro, wysoką górę czy nasyp, jak wolicie, obsadzoną ładnym krzewiem, drzewkami, na której z gustem i znajomością porozprowadzane kręte ścieżyny, wiodące na platformę samę, na której stoi baszta wraz z dwoma ramionami, dawnych ścian jakichś czy murów obronnych. Góra ta czyli nasyp, przed niedawnym dopiero czasem za staraniem poprzedniego króla, została w ten sposób urządzona i obsypana. Ludzie, którzy robili około nasypów, opowiadają o wielkich fundamentach i murach, o masie kamieni, która się w tych miejscach znajdować miała. Wyrachowana administracyja stosy kamieni wonczas bezpotrzebnie leżących, rozprzedała. Kiedy jeszcze koło wieży panował miły nieporządek, łakomi ludzie, których niebrak nigdzie, szukali: to przechowanych pieniędzy, to kosztownych skarbów, tam niby ukrytych. Skończyło się na tym, że po wydostaniu kamieni i gruzu, który chłopi okoliczni rozkupili, przy współdziałaniu władzy i obywateli, usypano piękną górę, na której pozostała sama tylko baszta i dwa skrzydła, będące dwoma jakby

---

jące obecnie towarzystwa tego rodzaju prywatne, wywołują dzięki swemu amatorstwu nadmiernych zysków, coraz liczniejsze, coraz głośniejsze i coraz silnej argumentowane skargi, gdy tak ubezpieczeni, jak i pragnący się ubezpieczyć, nie są bynajmniej zadowolnieni z dzisiejszego położenia rzeczy, gdy słowem sprawa ubezpieczeń coraz żywotniejszą się staje; dziś, powtórzymy, utworzenie instytucyi na wzajemności opartej ze wszech miar jest pożądanym i pilnym. To też nic dziwnego, iż wiadomość: jakoby projekt Towarzystwa Kredytowego był już rozpatrywanym i przychylnie przyjętym w wyższych sferach rządowych, jakoby przeto niezadługo projekt ten miał wejść w życie; nader żywo przez naszych zwłszcza obywateli ziemian i sympatycznie powitaną została. Aliści, miła ta niespodzianka trwała zaledwie chwilkę. W parę dni bowiem pojawia się w pismach znów w tym względzie wiadomość.... lecz wiadomość niestety niewesoła, bo zwiastująca poniekąd odwołanie poprzedniej. Co wywołało dwie te wpost sobie przeczące wieści, nie myślimy tu zastawiać się bliżej, a powiemy natomiast, że bądź co bądź tyle ważna ta sprawa nie została widocznie odłożoną *ad acta*...., przeciwnie agituje się ona z większym niż kiedykolwiek zajęciem. Iść więc teraz powinno o to, by najsilniej interesowani posiadacze nieruchomości wiejskich, nie pozwolili jej zasnąć na dobre. Ci ostatni zresztą wiedzą dobrze, ile na szczęśliwym przeprowadzeniu palącej jak dla nich kwestyi, zyskaćby mogli: wiedzą dobrze, że wtedy, co najważniejsza, ich należności asekuracyjne nie byłyby.... „obcinane". Czyżby więc panowie ci a nadewszystko więcej wpływowi, nie mieli wystąpić tu czynnie i energicznie i.... pozyskać wreszcie owo tak dawno pożądane towarzystwo na *wzajemności oparte*.

* *

Dochodzi nas bardzo ważna wiadomość (podana w „Kaliszaninie") dotycząca naszych dróg komunikacyjnych. Powzięto zamiar usplawnienia Noteci od Gopła do Nakła, a przytym i samego jeziora Gopła, którego część pewna do Królestwa Polskiego należy. Zamiar ten nasuwa myśl rozleglejszego przedsięwzięcia, idącego po śladach kanalizacyi, która kiedyś już istniała. Noteć sięga aż do jeziora Slesińskiego, a stąd dawnemi czasy był drugi odpływ do Warty który zamieniony na porządny kanał, utrzymywał przez niejaki czas spław drzewa do Warty z przyległej okolicy leżnej. Kanał ten zaniedbany już oddawna, zaszedł mułem i zarosł torfem. Gdyby go odnowić jak należy, oraz jezioro Gosławskie i Slesińskie oczyścić tak jak ma być oczyszczoną część Noteci pod Gopłem, to między Wartą a Notecią mógłby się rozwinąć bardzo ożywiony handel. Towaru leśnego znalazłoby się jeszcze niemało nad tą liniją wodną i nabrałby on wtedy prawdziwej wartości. Nietrzebaby płodów znad Warty prowadzić tą rzeką przez Poznań do Szczecina bo to nie zawsze na korzyść sprzedającyh wychodzi. Przybyłaby im druga droga: przez Bydgoszcz do Gdańska, i tej możnaby używać przy pomyślnych okolicznościach. Skorzystałoby z tego bardzo miasto Koło, mające obecnie spław Wartą, trzy drogi bite z Kutna, Kalisza i Konina, a na widoku kolej żelazną, któraby przez Koło z Kutna biegła do Poznania. Dodać do tej bogatej z czasem komunikacyi jeszcze drogę wodną do Noteci i kanału Bydgoskiego, byłoby to niewątpliwie zrobić z tego miasta jedno z pierwszorzędnych stanowisk handlowych.

— Córka nieodżałowanego naszego ś. p. Wincentego Pola, Julija, wyszła za mąż za Dr. Wojciecha Urbańskiego, prefesora fizyki w uniwersytecie lwowskim, orar dyrektora biblijoteki uniwersyteckiej. Slub odbył się niedawno w Przemyślu.

ścianami lub zasłonami dawnego zamku, czy baszty przed nieprzyjacielem. Oglądając uważnie całość budowli, przyszedłem do wniosku; iż w tym miejscu, gdzie dziś usypana i zniwelowana porządnie góra, musiały stać mury prawdziwego zamku, nad którym dominowała baszta, ku obronie i ozdobie służąca. Mury w gruz poszły, zmięszały się z ziemią, wieża wieki przetrwała i urąga czasowi i teraźniejszym pokoleniom, dając widome świadectwo potędze dziejów bajecznych.

Ale czas już przyjrzeć się samej wieży i platformie ją otaczającej. Systematyczni Niemcy założyli tu wokoło rodzaj małego ogródka, który w lecie czarująco wygląda; porobili dużo uliczek, posadzili rzadkie drzewka, kule kamienne ważące po dwadzieścia funtów przynajmniej wyjęte także spod ziemi przy plantowaniu poustawiali w symetryczne kupki jak kule armatnie po arsenałach, posadzili drobną świerczynę w miejscu, gdzie dawniej szedł mur zewnętrzny obronny, postawili stoły i ławeczki do odpoczynku i naturalnie musieli na steczce postawić tablicę, gdzie wypisana kara dla przekraczających policyjne przepisy. Stajemy więc na górze... Nie mamy czasu patrzeć w dal; bo przed naszym okiem ogromna baszta podziw przejeżdżających, miła towarzyszka mieszkańców. Proszę sobie wystawić masę muru kształtu graniastosłupa ośmiokątnego, którego każda ściana ma 8 łokci długości, tj. mającego obwodu łokci 64 a przynajmniej 100 łokci wysokiego, a będziem mieli wprzybliżeniu pojęcie wielkości Myszej-Wieży. Mury grube są na stóp 13. Na 15 łokci od ziemi urządzony rodzaj podłużnego okna, gdzie po drabinie wejść można, skąd spojrzawszy w górę, widać błękit nieba, gdyż kopuła będąca tu także przed laty przez wichry zrzuconą została. Otwór ten jest nie tak wielki, mimo to lęgną się w nim chmary gołębi i innego ptastwa, które nanosiło wielką moc *guana* tak pożytecznego w gospodarstwie wiejskim. Że jednak baszta wraz z całym ogródkiem jest obecnie własnością skarbu, dają spać spokojnie niewinnemu ptastwu. Otwór ten podczas uroczystości (np. za bytności przeszłego króla) służył do umieszczania chorągwi wywieszonych na przyjęcie gościa. Przypatrzmy się samym murom. Zdawna to już powiadają, że przed laty lepiej budowano i murowano jak obecnie. Skądby to pochodziło? zastanawiało mnie to już nieraz. Przecież sposoby wypalania cegły, lepsze są dziś niż in *illo tempore* za króla Ćwieczka, a mechanika i budownictwo także trochę postąpiły. Fakta jednak mówią inaczej. Powiadają np. że fundamenta dawne mocniej trzymają, gdyż po ułożeniu szychty kamieni rzadkie wapno (rzadsze znacznie niż obecnie do murowania) lano między szpary, dopóki te w zupełności zalanemi nie zostały. Nie żałowano wapna, ale mur trzymał. Układanie cegieł było też zupełnie inne, nie było żadnych wiązań, cegły szły jedna na drugą, mimo to trzymały się. Wewnątrz, jak powiadają, są jeszcze ślady niedokończonych jakichś sklepień, które z czasem zrujnowały się i ślad po nich tylko pozostał. A most zwodzony, który miał do zamku prowadzić, z góry naprzeciw będącej także na ten cel usypanej a wewnętrze? a podziemia? kryjące może skarby pamiątek dla archeologów i uczonych?! Tam nikt nie zajrzał.

> Nikt nie był w zamku; mówią, że czary
> Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
> Nadludzką sztuką wzniosła filary
> Lecz kiedy wzniosła? – Nikt nie pamięta...

Oba skrzydła czyli ściany wymurowane obok wieży i z nią złączone, składają dwie masy niekształtnego muru, okrzesanego po wierzchu przez tegoczesnych majstrów i mieszczącego wewnątrz ogromne kamienie, gruz, żużle i t. p. przedmioty. Skrzydła te mają szerokości po łokci 6, długości przeszło 12. Naturalnie na końcach cegiełka tu i owdzie obruszana upadnie, za nią podąży druga, i tak w długim wieków szeregu poszczerbiły się granitowe ściany, których oręż nieprzyjaciela poruszyć nie mógł. Czas-wojownik mocniejszy od wszystkich. W dwu wspomnianych ścianach widnieją poumieszczane kamienne kule, ktoby myślał, iż wyrzucone z jakiego taranu lub kuszy. Gdzie tam! po wykopaniu ich z ziemi w murowano je niedawno dla ozdoby. Na wierzchu muru porasta ziele, które świadczy o wieku pierwszego; staranna ręka zarządu rokrocznie dokłada cegiełki, podmurowuje, czyści, aby tylko jak najmniej szkody przyniósł czas wspaniałemu pomnikowi. Podczas restauracyi i zakładania dzisiejszego ogródka, musiano całemi kawałkami ustawiać nowe mury, co psuje efekt i podobne do kwiatka przy kożuchu. Zapomniałem dodać, ża w całej wieży porobione są otwory, które służyć musiały do zakładania rusztowań, inaczej wytłomaczyć sobie tego nie można. Nisko przy samej wieży, spotkasz na cegłach wyryte imiona zwiedzających. Znalazłem tam Kremera, Libelta i kilku literatów z Warszawy. Kiedym tak oglądał ze wszystkich stron Myszą-Wieżę, myślałem, skąd ją rysować najlepiej, przekonałem się, iż najpiękniej prezentuje się od strony południowej tj od Rzempowa. Rysunki które dotąd widziałem nie dawały nigdy dobrego wyobrażenia o jej wielkości, a to wydaje mi się koniecznym. Dotąd obok wieży (jak to widziałem w Tyg. Ilustrowanym czy Kłosach), rysowano domki przy moście, rzeczy zupełnie zbyteczne a psujące efekt obrazu.

Jeżeli taraz odsuniem się trochę od Wieży i zwrócimy myślą w ubiegłe czasy, staną nam na pamięci jacyś rycerze zakładający mury— zbrodniczy Popiel, złe myszy, zburzenie zamku przez Szwedów za Jana Kazimierza i t. p. rzeczy. Gdy się na popielowej górze obejrzym i zapuścim wzrok na południe, spotkamy ślady grobli wiodącej do Rzempowa, poważne jezioro, wyspę, po obu jej stronach poważne jezioro, biegnące coraz wolniej a rozszerzające się im dalej od nas; jeszcze chwila, wzrok nasz zginie wśród jasnego horyzontu, na wioskach jak punkciki rozsianych po obu stronach jeziora, na ludziach jak mrówki krzątających się koło biedy własnej, spocznie w końcu na czarnej Kujawskiej ziemi, dźwigającej w milczeniu wszystko i wszystkich. Obracając się dalej ku wschodowi, widzimy szosę biegnącą do Gocanowa, tuż zaraz pałac dzisiejszego właściciela folwarku Kruszwickiego, wystawiony podobno z rozwalin starożytnych popielowych murów, dalej wspaniały ogród rozciągający się do jeziora, jeszcze bliżej, skromną i cichą chatkę pilnującego porządku przy wieży, łodzie i sieci rybackie, kawałki obsianej roli, na końcu most na Gople i szosę prowadzącą do m. Inowrocławia. Ciekawym bardzo pomnikiem dawnych czasów, jest tu także kościół katolicki, wybudowany z ciosowego kamienia, przed niedawnym czasem zgruntu odnowiony. Wieść niesie, iż żona jakiegoś ówczesnego władcy, będąc poganką, w lesie (który naturalnie rozciągał się wtedy dokoła) czyniła ofiary swym bogom, na kamieniu, który dotąd pokazują wmurowany w jedne ścianę kościoła. Nadchodzące chrześcijaństwo zamieniło skromną pogańską świątynię na przybytek prawdziwego Boga, ale przybytek ten skutkiem czasu, uległ zupełnej ruinie i gdyby nie dzisiejsza staranność, w gruz by się rozsypał,

Jeżeli pobiegniemy okiem ku północy w stronę Inowrocławia, dostrzeżemy w pogodny dzień nasze powiatowe miasto, koniec Gopła (pod wsią Szarlejem) i małe ale schludne miasto Kruszwicę, wybudowane po obu stronach jeziora, zaraz za mostem. Z lewej strony widnieje w oddali wspaniały majątek Kobylniki, będący w ręku niemieckim, bliżej kościół ewangielicki, rynek kruszwicki; i tak idąc dokoła przybędziem znów w to samo miejsce, zatrzymamy się znów przy starej baszcie, podumamy o tym i o owym, a schodząc na dół po pochyłych ścieżkach, możemy zawadzić o grotę z kamieni, cokolwiek niżej od wieży wybudowaną, gdzie spacerujący w lecie szukają schronienia przed palącym słońcem. Skoro i to widzieliśmy a niespokojne fale biją i biją w łódź naszę—siadamy, krzepkim Kujawiakom wiosła trzeszczą w żylastych rękach, żegnamy chustkami wspaniałą wieżę i centrum pruskich Kujaw, Kruszwicę. Zamyśleni, nie widzimy jak przelatują mimo naszych oczu bogate Łagiewniki, Gożewo, Racice i t. d., zamyśleni nie słyszym nawet pluskania wiosła, miarowo uderzającego o spokojne wody jeziora.

Odbyliśmy przejażdżkę do Myszej-Wieży.

Zdaje mi się, że to wszystko; szczegóły historyczne, daty, nużą czytelnika; opis podług mnie najlepszy; to jednak nie starczy, dopóki się samemu zbliska nie obejrzy pomników naszej przeszłości. Opis *zachęcić* tylko może. Dałby to Bóg, aby te moje wierszy parę, przysłane Wam na skrzydłach pary ze stron dalekich, były bodźcem dla niejednego szukającego za granicą przejażdżki i rozrywek i skierowały jego kroki nad Gopło,—a że trudu i fatygi nie pożałuje, za to ręczę.

S. W.



Wykład Ekonomii Społecznej napisał Dr. *Leon Biliński* tom I-szy (Lwów 1873. r. nakład autora.

Autor cennej rozprawy „Procent a Czynsz,“ daje nam nowy owoc swych studyjów na tak słabo jeszcze u nas uprawianym polu *ekonomicznym*. Tym też większa pracy takiej zasługa, ile że p. B. dzieło wypełnia rażącą w tym kierunku lukę. Według bowiem przewodniej myśli autora, ma ono stanowić *podręcznik* któryby treściwie obejmował cały obszar ekonomii społecznej, mógł z jednej strony naszej młodzieży uniwersyteckiej służyć do nauki,— z drugiej zaś i resztę publiczności zaznajomić, o ile nie uskuteczniły tego obce dzieła z zaniedbaną tą w kraju naszym nauką. Otóż, jeżeli razem z p. B. zwrócimy uwagę, że spomiędzy pierwszorzędnych prac naszych ekonomistów: Skarbka i Supińskiego—pierwsza jest już dziś przestarzałą, druga zaś, mimo całej swej doniosłości nie stanowi systematycznego podręcznika; jeżeli dalej zastanowimy się, że w przełożonych na nasz język przewodnikach zagranicznych, nie zrobiono zbyt szczęśliwego wyboru,—to przyznać musimy, że założenie i cel przewodni pracy p. B. nader trafnie zostały wytknięte.

O ile do celu tego autor zbliżyć się zdoła w rzeczywistości, nie może o tym dać dokładnego wyobrażenia tom *pierwszy*, nie stanowiący objętej zasadniczym planem całości. Oczekując więc niecierpliwie tomu drugiego, w którym p. B wiele ciekawych i w dziedzinie nauki ekonomii nowych rzeczy pomieścić przyrzeka, ograniczymy się tymczasem na sprawozdawcem z treści tomu *pierwszego*. P. Biliński określiwszy we wstępie stanowisko ekonomiki w systemie wszystkich nauk, przechodzi do systematycznego podziału przedmiotu, według którego praca p. B. na dwie rozpada się części: pierwsza obejmuje *fizyjologiją gospodarstwa*, druga *naukę w stosunkach między gospodar-*

stwami indywidualnemi pośród gospodarstwa społecznego. (*) Podziału tego autor nie usprawiedliwia bliżej, czego jednak zdaniem naszym w dziele, przeznaczonym dla pragnących się dopiero gruntowniej nieco zapoznać z nauką ekonomii, nie należało pomijać. Fizyjologija gospodarstwa obejmuje trzy zasadnicze czynniki wszelkiego gospodarstwa: *produkcyją, konsumcyją i reprodukcyją.* O każdym z tych trzech czynników traktując zosobna, wykład swój zamyka autor w trzech rozdziałach. W pierwszym streszcza, szkoda tylko, że zazbyt zwięźle, teoretyczne pojęcia: o wytworze i pierwotnych czyli iście podstawowych jego czynnikach: (przyrodzie, pracy i kapitale),—dalej idzie nauka: o wartości, cenie i pieniądzach. Cały ten rozdział, o ile z jednej strony odznacza się trafnym ugrupowaniem rzeczy; o ile prowadzi czytelnika po właściwych szczeblach teoretycznych; o tyle z drugiej znów, przy niezbyt zwłaszcza szczęśliwym doborze wyrazów, przy zaniedbanym często języku i suchym stylu, grzeszny pewną niejasnością wykładu, (np. nauka o wartości a nadewszystko „pojęcie warsości"). Rozdział drugi obejmując naukę o konsumcyi", zapoznaje czytelnika z pojęciem i znaczeniem konsumcyi osobistej, rzeczowej i konsumcyi przyrody, wskazując zarazem rodzaje, wzrost i zmiany potrzeb osobistych. W rozdziale trzecim znajdujemy prawdziwie pouczająco wyłożoną rzecz o *reprodukcyi*, a w szczególności ustępy o procencie, czynszu i rodzajach płacy, oparte na najnowszych wynikach badań ekonomicznych, (renta gruntowa), nic nie pozostawiają do życzenia. Rozdział czwarty, uzasadniający zazbyt może treściwie pojęcie gospodarstwa indywidualnego; i roz. piąty określający nierówne już szerzej pojęcie gospodarstwa społecznego, zamykają część pierwszą książki. Nie możemy tu, tak jakby na to ze wszech miar zasługiwało, zastanawiać się nad układem i treścią części drugiej, traktującej o stosunkach między gospodarstwami indywidualnemi. Powiemy więc tylko, iż część ta, harmonizując najzupełniej z nowemi prądami ekonomiki, przedstawiając cały szereg stosunków gospodarczych, w nowym niemal zupełnie *teoretycznym* świetle, przedstawiając stosunki te z dzisiejszego punktu widzenia:—do istotnego wzbogacenia ekonomicznej wiedzy, obeznanego nawet już z przedmiotem czytelnika, niemało przyczynić się może. Wogóle biorąc część druga, odznacza się o wiele jaśniejszym niż pierwsza wykładem, również systematycznym ugrupowaniem rzeczy: i wielkim bogactwem treści. W rozdziale jej pierwszym, p. B. uwzględniając źródła i charakterystyczne cechy stosunków zachodzących między gospodarstwami, mówi najprzód o stosunkach naturalnych, a więc o klasach gospodarczych: i o rodzajach gospodarstw, rodzaje zaś te obejmuje w siedmiu kategoryjach: (górnictwo, rolnictwo, rzemiosło, przemysł wraz z rękodzielnictwem, handel, czynności pieniężne i kredytowe, usługi), i o każdej z nich mówi zosobna. Zkolei przechodzi autor do stosunków między gospodarstwami dobrowolnych, czyli do nauki o *przedsiębierstwie*. Jest tu więc mowa o produkcyi, konsumcyi i reprodukcyi przedsiębierczej, o rozmaitych formach przedsiębierstw, tak prywatnych, jak i na stowarzyszeniu opartych (różnego rodzaju *spółki*), i nakoniec o „posłannictwie przedsiębierstwa". Rozdział 2-gi zakończający tom 1-szy, jest zdaniem naszym najbardziej interesującym i najszczęśliwiej opracowanym. W rozdziale tym mianowicie p. B. prowadzi czytelnika przez całe szeregi rodzajów *walk gospodarczych*; mówi więc: o niewoli, wyzyskiwaniu i różnych tego ostatniego objawach, przedstawiając w nader jasnym świetle stosunek pracodawców do pracowników i odwrotnie; niemniej uwzględnionemi tu są *skutki wyzyskiwania*, i nakoniec w obszernym ustępie o wolnej konkurencyi napotykamy wiele bardzo nowych i niesłychanie trafnych w tej materyi uwag.

(*) Podział ten odpowiada poniekąd zastosowanemu już w Szkole polskiej Supińskiego: *mechanizm* i na *organizm* społeczny.

Sama ta obfitość i jakość treści dzieła p. B. przemawiać się zdaje za jego niepoślednią naukową wartością. To też kończąc, nie możemy tu nie wyrazić jednej uwagi. W ostatnich czasach, dzięki bliższemu zainteresowaniu się opinii wewnętrznemi sprawami kraju, tworzy się u nas coraz szersze kółko ekonomistów, lecz niestety ekonomistów... improwizowanych, rozprawiających o naszych interesach ekonomicznych z całą powierzchownością dyletantów. Tym to więc przedewszystkiem obok innych źródeł naukowych pracę p. B. zalecamy szczerze. Niemniej jednakże zainteresować ona potrafi każdego i wytrawniejszego już ekonomistę, jak i nie ekonomistę, wiele i bardzo wiele *nauczyć* może.

J. J.

ROZMAITOŚCI.

— *Józef Chociszewski* wydał w Poznaniu „Piśmiennictwo polskie w życiorysach naszych najsławniejszych pisarzy dla ludu polskiego i młodzieży, z obrazkami." Cena 12 sgr. Pisma zagraniczne polskie wyrażają się o tym dziełku z największym uznaniem.

— *Nitschmann* księgarz z Elbląga wydaje po niemiecku dzieło p. t.: „Polnischer Parnass" i z tego powodu prosi pp. poetów warszawskich nawet mniej głośnych, o nadesłanie mu swych krótkich życiorysów ze wskazaniem dzieł wydanych.

— *Dr. Karol Ottokar* prof. przy politechnice w Pradze przedsięwziął bardzo ważne dla czechów, a dla nas naśladowania godne wydawnictwo „Zywnosteńskie muzeum" (muzeum przemysłowe), z 400 rycinami, rocznie za cenę 6 zł. reń. 24 cent. (4 tal. 6 sgr.), celem *obznajmienia rzemieślników z postępem wszelkich rzemiosł.*

— Towarzystwo antropologiczne paryskie pierwsze swoje posiedzenie odbyło w miesiącu ubiegłym. Na posiedzeniu tym, przeszłoroczny prezes Towarzystwa, p. Bertillon, pożegnał je mową, w której przedstawił świetny stan i ciągły rozwój towarzystwa i ustąpił krzesło przewodniczącego tegorocznemu z kolei prezesowi, słynnemu dawniej gubernatorowi Senegalu, a następnie bohaterowi ostatniej francuskiej wojny, jenerałowi Faidherbe, który wstępną mową powitał członków. W niej zwrócił uwagę mianowicie na ważną pracę swego poprzednika, p. Bertillona, ogłoszoną w roku przeszłym, a traktującą o małżeństwie i przyroście ludności. Praca ta sumienna i na ścisłych statystycznych wykazach oparta, daje wiele do myślenia francuskim mężom stanu. I tak, kiedy we Francyi na 1000 młodzieży, mającej od 20 do 25 lat wieku, tylko 57 zawiera co rok związki małżeńskie, w Anglii żeni się 120, to jest przeszło dwa razy tyle. Ze stu kobiet w wieku macierzyństwa, to jest mających od 15-stu do 40-stu lat wieku, rodzi się rocznie w Anglii 39 dzieci, we Francyi zaś tylko 26, a zatym o trzecią część mniej. Wynikiem tych wielkich różnic jest ta przyczyna, że ludność we Francyi wzrastać przestała, że wpływ Francyi nazewnątrz jest zagrożony, że w wielu jej okolicach przemysł i rolnictwo muszą sprowadzać cudzoziemskich robotników, gdy przeciwnie ludność Anglii wzrasta co dziesięć lat o trzy milijony. Ten przyrost anglo-saksońskiego plemienia roznosi po całym świecie, nie wyjmując i Francyi, wpływ angielski, mnożąc z nim przewagę i bogactwo macierzystego kraju. Niech więc mężowie stanu nie lekceważą faktów i wniosków, jakie nauka im podaje. Zaradcze nato środki całemu znane są światu—są niemi dobre obyczaje i niezbędna ich towarzyszka: praca. Nie tu miejsce—tak kończy swą mowę p. Faidherbe, rozwijać obszernie te prawdy; chciałem tylko wykazać, że prace nasze nietylko czysto naukowy mają charakter, ale że z nich ważne dla społeczeństwa wypływają wnioski, z których skorzystanie jego jest zadaniem.

(W.)

— W 12 zeszycie wychodzącego w Berlinie pisma, p. t. „Berichte der deutschen chemichen Gasellchaft", znajdują się dwie rosprawy p. Bronisława Radziszewskiego, profesora chemii w uniwersytecie lwowskim. Pierwsza z tych rospraw: „O względnym ułożeniu łańcuchów bocznych w węglowodorach",—druga zawiera „Kilka uwag nad budową ciał aromatycznych". Obie zawierają badania samodzielne, które jak wszystkie prawie prace pana Radziszewskiego, rozwijają i posuwają dalej naukę.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Stan. Ak.... w Poznaniu. O korespondencyje prosimy. Bliższe porozumienie będzie dopiero wtedy możliwym, gdy otrzymamy dokładny adres.

P. Ant. Skór.... w Babinie. Przekłady dzieła Secchiego i Claude Bernarda, o które się pan pytasz, dotąd nie zostały jeszcze drukiem ogłoszone. Bliższych zaś wiadomości co do samego przekładu nie mogliśmy zasięgnąć. Nowa gieologija nie ukazała się.

Ks. J. Kociełło. N. N. 4 i 24 r. z. zupełnie wyczerpane.

P. W. Brzezickiemu w Mińsku. Dokończenie powieści otrzymasz pan, jak wszyscy inni prenumeratorowie, przy dodatku *za luty.* Dla czego zaś p. Lewental nie odsyła panu „Biblijoteki najcelniejszych utworów literatury", której dotąd wyszło 18 arkuszy, nie możemy wiedzieć; musisz się pan sam do niego z reklamacyją udać.

Pani K. Jakowi. w Dziśnie. Zakładów ogrodniczych, w których by było można pobierać naukę, u nas niema. Dawny system terminowania u ogrodników rozwija się jeszcze w całej pełni.

P. Z. T. w Warszawie. Prosimy o osobiste porozumienie się co do artykułu, który pan nadesłałeś. Codzień od 10 do 12 zrana.

P. Józ. w Malczu. Rs. 3, któreś pan przysłał nie wystarczają na opłatę samych 25 towów „Wychowania domowego", gdyż za pierwsze półrocze prenumerata na nie wynosi rs. 4.

Дозволено Цензурою.—W drukarni Opiekuna Domowego.—Warszawa, Nowy Świat, Nr. 30 (nowy).

Wydawca i Redaktor HENRYK PERZYŃSKI.